Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 27. Poznań, dnia 5. Lipca. 1841.

Literatura zagraniczna.

Die Deutschen und die Nachbarstämme,

von

KASPAR ZEUSS.

München, bei Lentner.

Autor w tém dziele, o 800 blisko stronicach, chciał dać obraz jak najdokładniejszy keltyckich, germańskich i słowiańskich ludów, które w dobie przedchrześciańskiéj na północ granic wielkiego państwa rzymskiego mieszkali. Dzieli dzieło swoje na dwie części. W pierwszéj wystawia obraz geograficznego tych ludów położenia, i historycznych o nich wiadomości, aż do gminoruchów; w drugiéj uważa je w nowych siedzibach i pod nowémi postaciami, jakie pomienione wędrówki ludów ze sobą sprowadziły. Cokolwiek było źródeł w pisarzach rzymskich i greckich ze starożytnych jeszcze wieków; cokolwiek w byzantyńskich pisarzach i późniejszych kronikach i dziejopismach; wszystko to autor jak najstaranniéj zebrał i ułożył; że bodajby się nalazło dzieło drugie równie uczone, i tylu obłożone źródłami.

Widać z pisma, że autor, za nim się wziął do pracy tak olbrzymiéj, nauczył się wprzody języków do takich badań nieodzownie potrzebnych. Zna języki gocki, staroniemiecki, keltycki, i obok języka cerkiewnego, żyjące narzecza słowiańskie. Dla tego badania jego krytyczne na dobrych są oparte podstawach. Dla nas najwięcéj mają interesu słowiańskie ludy, i dla tego tę część tylko dzieła uważać będziemy, w któréj o nich mowa.

Praca pana Zeuss wyszła już przed trzema laty z druku, i dla tego, kiedy ją układał, klassyczne dzieło Szafarzyka »o starożytnościach słowiańskich« ,w języku czeskim nie mogło mu być jeszcze znane. Ważne ztąd nastręcza się porównanie prac obu uczonych autorów we względzie ludów słowiańskich, mianowicie w dociekaniu ich początków. Albowiem obydwaj z tych samych źródeł czerpali, z równą je ważyli oględnością; jeden drugiemu nie ustępuje ni w ogromie pracy, ni w uczoności; a choć Zeuss nie myślał pisać starożytności, i plemiona germańskie były mu główną grupą obrazu północnych ludów, spotkać się jednak musiał z Szafarzykiem na tém samém polu dziejowych podań, na którém autorowi o starożytnościach słowiańskich wprzody stanąć potrzeba było, za nim mógł do starożytności samych przystąpić.

Mając na względzie tylko pierwszy zeszyt polski starożytności słowiańskich tłómaczenia pana Bońkowskiego, przytoczymy z naszego autora to, coby albo za dopełnienie badań uczonego Szafarzyka posłużyć mogło, albo coby przez odmienne tych samych badań wypadki było ciekawe.

»Ludy Germańskie« powiada Zeuss (str. 67. i n.) »przezwały sąsiadów swoich Słowian na wschód i południe imieniem Wendów. *Venedi* u Pliniusza, *Veneti* u Tacita, Οὐενέδαι u Ptolomeusza, *Venedi*, *Venadi* w tablicach Peutingera, *Winidæ* u Jornandesa. Ponieważ miana tego Słowianie sami między sobą nie znali, przeto nie trafiamy na nie u pisarzów wschodnich, za to wszędzie i w późne wieki jeszcze Niemcy niém nazywali Słowian, którzy opuszczone przez germańskie ludy siedliska zajęli. Pochodzenia tego wyrazu domyśla się autor albo od gockiego *vinja* (pastwisko), albo, co mu się podobniejszém widzi do prawdy, od wyrazu *ouin* z gocka *win* (Grimm 1. 58.), którym Gotowie kraj płaski na wschodzie nazywali. »*Filimer pervenit ad Scythiae terras, quae lingua eorum Ouin vocabantur,*« (Jornandes c. 4.)

Szafarzyk w starożytnościach swoich dowodzi szeroce, że mylne jest zupełnie twierdzenie, jakoby Słowian Niemcy dla tego Wendami przezwali, że zajęli siedziby Wenedów germańskich, zkąd nazwa germańskich plemion na słowiańskie przeszła. Tego, jak widzimy, Zeuss także nie utrzymuje, i Venetów Tacytowskich wyraźnie ma za Słowian. Zaś niemieckich Vindilów (Plin. 4. 14.) albo Vandiliów (Tacit. Germ. 1.) wywodzi

z całkiem innego źródła, bo z gockiego *vindan* (dzisiejsze winden), *vandjan* (dzisiejsze wenden), *vantalon* (dzisiejsze wandeln), co wszystko wychodzi na znaczenie wędrówek, przechodów, tułactwa (zob. str. 57.) Nie powiada nam wszakże Szafarzyk, zkąd poszło, że Słowianie tak przez Niemców ochrzceni zostali, lubo świadectwo Jornandesa mimowolnie na ślad pochodzenia owéj nazwy naprowadza. *Terrae* znaczą wyraźnie kraje, okolice, a takie zbiorowe krain pojęcie mogło być łatwo nazwane imieniem pospolitém płaszczyzny *ouin*. Jeżeliby więc to nazwisko gockie do kraju było przywiązane, bardzo łatwo być mogło, iż zeń szła nazwa na ludy, kraj ten zamieszkujące, choćby różnoplemienne; na podobieństwo, jak górali nazywamy góralami, bez względu na ich plemienność. Tym sposobem dałoby się może rozwiązać podobieństwo nazwy Wendów (Słowian) i Windulów (Germanów mieszkających na wschodzie, a zatém w kraju płaskim), o czém się już Szafarzyk domyśla, mówiąc, że w nazwach tak bliskobrzmiennych musi być coś wspólnego, i zachodzić pokrewieństwo pochodzenia.

Autor starożytności słowiańskich utrzymuje, że jak u Niemców wyrobiła się dla Słowian nazwa Wendów, tak u nich samych powstało ogólne miano plemienne Serbów, i że prócz tych dwóch nazw ogólnych dla ludów słowiańskich na drodze dziejowéj żadna inna nazwa ogólna dowieść się z czystych i wiarogodnych źródeł nie da. Uczony badacz ma tu głównie na myśli powszechne wywodzenie Słowian od Scytów, a przynajmniéj od Sarmatów, pod którém to nazwaniem początkowi Słowianie mieli być ukryci.

I Zeuss co do innoplemienności Sarmatów i Scytów tego samego jest zdania. »Tak wyraźnie, jak Finowie,« powiada, »wyróżniają się od Wendów, sąsiedzi ich na południe, Scytowie. W odrętwiałéj północy mieszkańcy z ponad jezior i morza byli rybakami i strzelcami; w bujnych zaś krainach południa odbywali wędrówki pasterze, po pastwiskowych rozłogach i stepach, ciągnących się z Azyi po za morze Czarne aż do Dunaju. Mieszkańcy ci żyli z trzody swojéj, którą przepędzali z pastwiska na pastwisko, namiot na wozie był im mieszkaniem, a mężów nosiły konie. Takim sposobem życia wyróżniali się Scytowie i Sarmaci od innych plemion, mianowicie Wendów i Germanów, o których mówi Tacit: *domos fingunt, peditum usu ac pernicitate gaudent; quae omnia diversa Sarmatis sunt, in plaustro equoque viventibus*, (Tacit Germ. 46.)« — O Sarmatach zaś powiada: »Scytowie po za morzem Czarnem mieszkający zwali się u siebie Skolotowie. Od nich to dowiedzieli się Grecy o innych sąsiednich narodach, różne noszących nazwiska. Z tych najznaczniejsi byli Sauromaci, potém Sarmaci przezwani, mieszkający z tamtéj strony rzeki Tanais. Wojenne niewiasty tego ludu dały powód do bajki o Amazonkach, którą Grecy ukleili (Hippocrat. p. 291.) Hippokrates nazywa Sarmatów scytyjskim ludem, a Herodot (4. 110. — 116.) powiada, że mówili językiem Scytów« i t. d. (str. 275. — 302.)

Ale Zeuss w uwagach do strony 58éj i 67éj trafia na ważny ślad w Jornandesie, że krom Wendów i Serbów, jako mian ogólnych u Słowian, inne jeszcze w owych odległych wiekach istniało miano ogólne. Jornandes, pisarz dziejów gockich, mówiąc o wędrówce Gotów nad morze Czarne pod wodzem Filimirem (c. 4.) dodaje: *nec mora, ilico ad gentem S p a l o r u m adveniunt, consertoque proelio victoriam adipiscuntur. Exindeque jam velut victores ad extremam Scythiae partem, quae pontico mari vicina est, properant.* Pierwiastek *Spol* w dzisiejszych narzeczach słowiańskich znajduje się tylko w wyrazach pochodnych i złożonych, jak polskie społem, spółbrat, spółka, spolny i t. p. Na téj podstawie opiera Zeuss swój domysł dawnego powszechnego miana Słowian. »Fände sich hier wirklich ein alter einheimischer Gesammtname, dessen Bedeutung Kameraden, Stammgenossen, nicht blos, wie *Suevi, Vindelici, Serbi,* eine weitverbreitete Benennung?« Tym sposobem objaśniłoby się miejsce u Prokopa (3. 14.), gdzie powiada, że Slawenów i Antów z dawien dawna (τὸ παλαιὸν) sporami nazywano.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura krajowa.

P o e z y a.

Wyjątek z poematu »Dzwon Wawelski.«

Słyszycie! — w Zygmunta dzwonią,
Powietrze wstrzęsły rozdźwięki,
I ciężkie poważne jęki
Falami Wisły się gonią,
W miedziane dachy uderzą,
Walą się w ulice miasta,
Aż się po rynku rozszerzą.
A huk się wzmaga — podrasta —
Drzący wzlatuje nad wieżą;
I w czarnéj chmury uścisku
Pochwalne pieśni brzmi niebu.
Czy smutne psalmy pogrzebu?
Czy straszne krzyki ucisku? —

Słuchałem długo wieczorem,
Duch mój tak wsłuchał się cały,
Że dźwięków tych rozhoworem
Dziwne w nim pieśni zagrały.
To się w przeszłości zagłębił,
To w blasku słońca zapałał,
Szumami wichrów rozszalał,
I w chłodach grobów naziębił.

A dzwon mi mówił powieści,
Jak wiele razy w przeszłości
Brzmiał rozgłosami wielkości,
Tryumfu, wesela, chwały!
I takiém jękiem boleści,
Że go dwa morza słyszały! —
On mówił: »Mam pierś spiżową,
»Jak piersi mego narodu!
»Serce żelazne — jam głową
»Wszystkich dzwonów tego grodu.
»Serce żelazne — gdy go burza czeka,
»Serce żelazne — gdy się dąsa piekło,
»A jednak serce wielkiego człowieka!
»Bo choć tak wiele uczuć z niego ciekło,
»Tak wiele uczuć tajemnie w pierś biło,
»I wiekuista pleśń na niéj osiadła,
»Jednak uczucie łona nie stopiło
»I rdza mi serca nie zjadła!
»Ja czuję za wszystkie dzwony,
»Pamiętam za wszystkie księgi,
»Gdy brzmiące wyrzucę tony
»I roztoczę wspomnień wstęgi:
»Na mój dźwięk — jak na zaklęcie
»Przeszłości spęka się trumna,
»A ona — jasna i dumna,
»Dusze ludzi w swe objęcie,
»W uścisk, pochwyci uroczy,
»I zbudzi w nich sen proroczy!«

Słuchałem dzwonu — i na przemiany
To się płoniłem — to bladłem;
Potok przeszłości płynął wezbrany
Przed mojéj duszy zwierciadłem.
Jak w zachwyceniu jak w śnie proroka
Jasne obrazy — miłe rozgłosy —
Tak się cisnęły do ucha — oka —
Spadały w duszę kroplami rosy;
Że odświeżona z tęsknoty pleśni
Z przeszłości — jakby z pajęczych tkanek,
Snuła nić dźwięków, wiązała w pieśni,
Jak kwiaty w wonny błyszczący wianek! —

* * *

R. 1520.

Onego czasu król dzwon kazał ulać,
I wybudował mu wieżę wysoką;
A król potężny, miał sławę szeroką,
Chciał by swobodnie i dzwon mógł pohulać.
Wieżę naprzeciw ściany Tatrów stawił,
By większe echo aż na morza grało,
Żeby potęgę narodu rozsławił,
I w twarz północy plunął jego chwałą! —

I dzwon ulany na karkach stu wołów
Wybiegł na wieżę, i zawisł u szczytu;
I wylał z siebie w przepaście błękitu,
Pierwszy hymn Bogu, jak chóry aniołów.
Głos leciał w górę w pełnych, brzmiących kołach
I wstęgę dźwięków jak piorun rozwinął,
Rozbudził echa po gór chmurnych czołach
I do stóp Boga zapłynął!
A od imienia króla mu nadano
Na tym chrzcie »Zygmunta« miano.

* * *

R. 1532.

Z pod Obertyna wracał Jan z Tarnowa,
A nad nim sztandar tryumfu wiał,
W gałązkach dębu jego siwa głowa,
A w oczach ogień zapału tlał.
A przed nim szło pięćdziesiąt dział,
I u stóp króla usiadły,
A za działami zdobyte sztandary
Pod stopy króla się kładły;
I z gołą głową wołoskie bojary
Na twarz przed królem upadły! —

I zstąpił z tronu on król sędziwy,
Jana do serca przycisnął;
Sławą narodu dumny, szczęśliwy,
Łzą rozczulenia zabłysnął.

I kiedy starzec ściskał starca dłonie męzkie,
Dzwon rozgrzmiał po powietrzu swe hymny zwycięzkie!
A naród uchem w duszę wciągał tę pieśń wzniosłą,
I wzrok mu się rozogniał i serce mu rosło! . . . .

Opowiadanie dziewicy.

(Ułamek.)

. . . .

»Wiosna już, wiosna! skowronek ją wieści,
»Pobiegę na kwietne błonie;
»Przyroda cięższkiéj zbawi mię boleści,
»Jak czuła matka utuli na łonie!

»Biegę i witam ziemię upieszczoną,
»Padam na kwietne jéj łono!
»O stokroć milszaś w ukwieconéj szacie,
»W pierwiosnku, w bratku, w bławacie!

»Ja całą piersią wciągam twe oddechy,
»Pieszczę się twemi uśmiechy;
»Jak syn na matki ukochane lica
»Patrzę na ciebie! tyś moja rodzica!
»Ziemio ojczysta bądź mi pozdrowiona!«

I pada w ziemi-matki swéj objęcia,
Jakby dosłyszał z jéj łona,
Tajemniczy głos zaklęcia;
I długo słuchał, czy też odpowiadał,
Bo twarz głęboko w kwiaty zanurzona —
A coraz szerzéj rozciąga ramiona,
Może jéj dolę spółbraci powiadał.

I długo — cicho — rozmawiali z sobą,
Podniósł się — w górę spojrzał — i po chwili
Twarz się młodziana okryła żałobą;
Mój Boże! smutnie coś z sobą mówili!

A jam na niego patrzała z uboczy;
On obie ręce złożył i wzniósł w górę,
Łzą jak brylantem rozświecił trosk chmurę,
A w licach wyraz błyszczał mu proroczy!

Modlił się łzami — łzy ściekły do ziemi
Na łono matki — ona je rozplemi —
I z wonią kwiatów do nieba odstrzeli,
Ojcu ją w niebie pokażą anieli!

Słowa młodziana — upadek — rozmowę —
Szepce siostrzycom, łkając na przemiany,
Śliczna dziewica, w rajski dzień wiośniany —
I poszły dumać w ojczystą dąbrowę.

1841. r. F. Ż.

Obłąkana.

»O, nad wszystkie kwiatki
»Ukochałam bratki;
»Zrywam je śród błoni,
»I noszę u skroni.

»Bo jak spojrzę na nie,
»Jakoś nie spodzianie,
»W ich skromnéj postaci
»Przypominam: braci!

»I w téjże godzinie
»Łzą oko zapłynie;
»A kwiatek ze skroni
»Że łzą cisnę z dłoni!

»O mój Boże wiosną!
»Te bratki wyrosną,
»A was czy zobaczę
»Braciszki — tułacze!«

I wciąż się dziewica
Bratkami zachwyca!
Ktoś szepnął: to ona
Nieboga! szalona!

1841. r. *F. Żygliński.*

Listy ajenta saskiego
podczas bezkrólewia po Auguscie III. i w początku panowania Stanisława Augusta.

(Dokończenie.)

Warszawa, 5. Maja 1764.

Wszyscy magnaci pozjeżdżali się. Pan widziałeś zjazd na sejmy zwyczajne; pomimo to pan nie potrafisz sobie wystawić, co to jest sejm konwokacyjny w stósunku do drugich. Magnat, który nie ma 20 do 50 assystentów, nie zwraca na siebie niczyjéj uwagi. Orszak z 60 do 80 Polaków szlachty i pachołków jest zupełnie zwyczajny. Wszystko błyszczy w ekwipażach i na pachołkach. Wnoszą, że większa część panów już się po raz ostatni tak wysadza. Najpiękniejsza i najwspanialsza kalwakada jest niewątpliwie pana podczaszego wielkiego litewskiego Poniatowskiego, który się pokazuje tylko wśród licznego wojska, tłumu sług, szlachty, a niekiedy nawet w gronie kilku magnatów.

Dwaj tylko panowie wiedzą wszystko, co się dzieje w sypialnym pokoju i przy gotowalni, (bo mówią powszechnie, że kobiety prowadzą sprawy Polski) ci mię zapewniali, że najgorliwsi dla Saxonii wpadli w to niedogodne położenie, że ich nie uznawano wcale za potrzebnych do składu, że ztąd naczelnicy partyi zwolnieli, zaczęli okazywać więcéj grzeczności, szukać porozumienia; że nawet Radziwiłł skoro tylko sam sobą rządzi, zaraz ulega; że nakoniec przyjście Rossyan, a brak pieniędzy bardzo uśmierzyły porywczość najzapaleńszych do bronienia wolności elekcyi. Bardzo wielkie są pozory, że przyjdzie całkiem ulegnąć. Jutro będziemy już wiedzieli, czego się trzymać.

Rossyanie nie stoją jeszcze obozem, ale zaczną stać jutro. Wyszło ich dziś kilka tysięcy do Wilanowa i do innych dóbr familii.

Wielki marszałek koronny kazał ogłosić przedwczora, aby każdy miał się na ostróżności, aby zamykano bramy, aby wychodzono tylko w gwałtownéj potrzebie, aby się zaopatrzono w żywność na dni ośm przynajmniéj.

Wielki podczaszy litewski Poniatowski częstuje dzisiaj wszystkich posłów, którzy się jeszcze nie oświadczyli przeciw familii, a naturalnie bardziéj tych, którzy są za nią.

Ambassador pruski, książę Schönaich-Carolath, przybył dzisiaj. Już się odbywają narady u Keyserlinga.

Warszawa, 8. Maja 1764.

Sejm zaczął się wczoraj, dotychczas jeszcze nie rozerwany, dzięki protekcyi rossyjskiéj będzie trwał, jak długo zechce familia. Przed opowiedzeniem wczorajszych wypadków w izbie poselskiéj trzeba wyłożyć rzeczy wcześniejsze. Rossyanie nie przestając na otoczeniu miasta od przeszłéj niedzieli, na kilka godzin przed rozpoczęciem sejmu posunęli swoje posterunki w ulice, przez co zamknęli nie tylko wszelkie wchody do miasta, lecz czuwali jeszcze nad bezpieczeństwem rzeczypospolity.

Senatorowie, posłowie przywiązani do hetmana wielkiego koronnego poczytywali taką straż za trochę dziwaczną, luboć to wszystko podług mowy Czartoryskich, dzieje się jedynie dla uratowania rzeczypospolitéj

z niebezpieczeństwa grożącego i pewnego. Kiedy Rossyanie strzegą miasta, wojska sprzymierzone wojewody ruskiego i stolnika litewskiego, nie robiąc nic podobnego, i jakby zebrane przez czystą ciekawość, trzymają pod kluczem posłów, nie ograniczając jednakże niczyjéj wolności głosu, dopokąd jaki poseł nie ośmieli się powątpiewać o legalności republikanizmu tak dobrze popieranego. Poniedziałek, ten wielki dzień, któregośmy tak długo oczekiwali, przeszedł, jakże mam powiedzieć, zupełnie spokojnie, o ile widać było. Stronnicy familii mieli kokardy, żeby się rozpoznać w tłumie. Generał Mokronowski jako poseł oświadczył po przyjściu dawnego marszałka sejmowego Małachowskiego, że sejm zaczynać się nie może, dopokąd przynajmniéj nie wprowadzą manifestu obejmującego bezprawia, który podpisało około trzydziestu senatorów i posłów, i który zaniesiono do grodu; oświadcza imieniem tych, którzy podpisali wszystko to za nieważne i nieprawe, coby wprzód wprowadzone było. »Spodziewam się,« mówił, »że wszyscy obywatele, którzy nie napróżno ten tytuł noszą, przystąpią do wniosku.« Wyrzekłszy te słowa chciał umknąć, ale prawie wszyscy posłowie krzyknęli, wepchnięto go na powrót ku środkowi sali, arbitrowie rzucili się na niego i walili go szablami w krzyże i po całym ciele. Na szczęście książę Adam Czartoryski, podczaszy litewski Poniatowski i strażnik Lubomirski zeskakują z miejsc, wydobywają go z tłumu i odprowadzają ku drzwiom. Mówią dziś powszechnie, że posłowie dobyli szabel, ale nie uderzyli. Obie strony mają powody do zamilczenia o tym wypadku; szepcą nawet, że Mokronowski lepiéj się zna z familią, niż to okazuje. To samo podejrzenie spowodowało wojewodę kijowskiego, że się pytał hetmana, dla czego oddalił swego faworyta Mokronowskiego i starostę Braneckiego. Bądź, co chcesz, posłowie przyjaciele hetmańscy nie mając odwagi do opierania się, jeden za drugim pozmykali z izby, i książę Adam Czartoryski po obraniu jednozgodnie marszałkiem, pieszo prowadzony był w tryumfie do domu. Jeden krok hetmański ziści wszystkie tajemne życzenia Czartoryskich, to jest, jak im zostawia wolne pole przez swój wyjazd.

(Dalszy ciąg później nastąpi.)

Wystawa obrazów w Poznaniu.

Tegoroczna wystawa sztuk pięknych nieodpowiada nadziejom, które pierwsza wystawa obudzała i rokowała. — Takie jest zdanie powszechne — może nawet po części sprawiedliwe; — rozmaite tego są przyczyny, najważniejsza zaś ta zapewne, że równocześnie z naszą, otworzone wystawy w Frankfurcie, w Hamburgu, w Lybek i w Dysseldorfie utrudniły, a nawet niepodobnem uczyniły sprowadzenie najpiękniejszych płodów malarstwa. — Nie masz zaiste na tegoroczniéj wystawie ani kazania Hussytów, ani Jeremiasza, ani Pielgrzymów na puszczy; na brak jednakże podobnie wielkich obrazów żalić się nawet nie można; bo komużby tu winę przypisać? chyba Panu Bogu, który nie codzień ducha świętego zsyła na apostoły piękności!? Zresztą tegoroczna wystawa tyle jeszcze ma pięknych i doskonałych obrazów, że nietylko lubownika, ale nawet znawcę i artystę zaspokoić zdoła; — są i na téj wystawie płody, w których się Bóstwo człowieczeństwu objawia, albo człowieczeństwo ubóstwia, — na których widok można się unieść natchnieniem i szlachetniejszą cząstkę istności naszéj, wyzwolić z pod wpływu życia powszedniego.

Jeżeli więc, młody mój przyjacielu, zbędzie ci jaka krótka chwila od zabaw i zatrudnień Święto-jańskich — jeżeli król Farao humor zepsuje zbyt wielką daniną, którą mu złożyłeś — albo cię znudzi wist zbytniemi honorami, któremi przeciwników twoich obsypywał — jeżeli ci się kiedy uprzykrzą te przyjemne wizyty, na których się w szczególności mówi o powietrzu, o teatrze, o śpiewie, o tańcu, — a w ogólności o niczém, jeźli cię jaka piękność motyla zasmuci zbytnią skrzydeł lekkością, tą lekkością polotną, którą się damy naszego księstwa po nad prozę naszego księstwa chcą wynieść; — ach! wtedy radzę ci młody przyjacielu pójść na wystawę obrazów. — Tamto znajdziesz piękności, które cię oczarują, ale cię nie zdradzą — które cię zachwycą, a nie przekwitną nigdy! — Pomiędzy tysiącem piękności nieskażonych — tem licznem towarzystwie aniołów — pół-bogów i ludzi wielkich sławą swoją, — w tym raju ideałów, kędy i czas i los traci swe panowanie — gdzie ani duch, ani przyroda zmianom przeznaczeń nie ulega, — gdzie wszystko na całą wieczność zaklęte w tę samą nieśmiertelną postać, w jakiéj się poczęło; tam to, przyjacielu, nie dosięgną cię niesmaki powszedniego żywota, ani zazdrość współ-zawodnika — ani zawiść nieprzyjaciela — ani przekąsy oszczercy, ani obłuda pochlebcy — ani przesyt zbytku, ani czczość i nudy salonów! — Spojrzyj — naokoło ciebie co za świat wspaniały i wielki! Tu gwar stuwiecznéj przeszłości — tam przyszłości widzenie — tam tajemnice niebu wykradzione — tu olbrzymie przedsięwzięcia pół-bogów ziemskich, i drobne zabiegi mrówczego pokolenia karłów; łzy, płacz, śmiech — wszystkie namiętno-

ści serca ludzkiego otoczyły cię naraz, a żadna nie dosięgnie ciebie. Tyś jest jak pan, jak Bóg tego świata, rozumiesz się znim tajemną mową ducha — mową szczęśliwych — ócz mową; tyś jest, jak Adam tego raju, w którym zwierzęta, drzewa, kwiaty, skały nawet same przemawiają do ciebie myślami!

Wierzaj mi, wierzaj przyjacielu, — stokroć szczęśliwy, kto choć na chwilę zdoła się przenieść w kraj ten ideałów — kto choć na chwilę umie się zakochać w téj piękności nadziemskiéj, w któréj się stwórca objawia. — Słuchaj więc mojéj rady i poświęć jaką krótką chwilę wystawie — jeżeli nie co więcéj, to tyle przynajmniéj na tem zyskasz, że wyczerpawszy na jakiéj estetycznéj herbacie zwykłą rozmowę o powietrzu, tańcu, teatrze; będziesz mógł w ostatniéj potrzebie mówić o malarstwie; będziesz mógł téj damie powiedzieć, że w jednym obrazie jest zakonnica nadzwyczaj do niéj podobna, że ta zakonnica stanowi całą wartość tego obrazu; — przed inną zaś damą, która zdjęła rękawiczki, aby sięgnąć po ciastko — możesz jéj zaręczać, że ta sztuka nigdy nie jest zdolna dosięgnąć piękności natury; możesz jéj zaręczać, żeś na całéj wystawie, ani jednéj prawdziwie pięknéj ręki wymalowanéj nie widział; — temu znów panu, który jest dobrym ojcem, a lepszym jeszcze gospodarzem — ma piękne owce i piękne córki — możesz powiedzieć, żeś na wystawie widział owce Verboekhovena, z tak piękną wełną, jakąby chyba u niego zobaczyć można. — Te i tysiąc innych, podobnie trafnych uwag zrobić możesz nad malarstwem — tysiąc innych jeszcze korzyści odnieść z odwiedzenia wystawy. — Nie trać przeto czasu i pospiesz na nią dziś jeszcze, a pospiesz razem z moim opisem aż do trzeciéj sali, gdzie naprzeciw okna wisi śpiąca Wenus, p. Jakobsa z Goty.

Od tego obrazu poczynam mój opis wystawy, nie dla tego, aby był najpiękniejszym — ale głównie z tych dwóch przyczyn, że w krótce zdjętym będzie z wystawy i że w nim połączone widzimy dla malarza zadania: rysunek i koloryt. Mógłby ktoś zapytać, tak jak już od dawna pytają się pomiędzy sobą teoretycy, co jest ważniejszem w malarswie, rysunek, czy koloryt?.. Jestto kwestya dosyć delikatna. — Ludzie znani z dowcipu i z trafności postrzeżeń, jak np. Diderot, uważali koloryt za ważniejszy; inni znów ogłaszali się za rysunkiem, tę szłuszną robiąc uwagę, że koloryt bez rysunku nic nie znaczy, nic nie wyobraża, kiedy przeciwnie rysunek bez kolorytu ostać się, a nawet podobać może. — Mnie się zdaje, że sprzeczne te zdania pogodzićby się dały, porównając rysunek do téj gliny, z któréj Bóg w raju Adama ulepił, z któréj malarz postacie swoje kształtuje — koloryt zaś porównując do tego ducha, którym Bóg tchnął życie w martwą bryłę gliny, którym i malarz postacie zarysowane ożywia. Rysunek przeto nadaje postać — kolor życie nadaje. — Prawda, że rysunek bez koloru ostać się może — ale czyż i to nie prawda, że jak ciało bez życia (a zatem rysunek bez koloru) jest czemś niedoskonałem, tak znów duch bez ciała (kolor bez postaci) na téj ziemi pojętym być nie może? Jeżeli z jednéj strony obejdzie się częstokroć rysunek bez kolorytu — to z drugiéj znowu są przedmioty, w których kolor jedynem jest życiem — które dopiero za pomocą niego rozróżnione być mogą; — są to wszystkie rzeczy nieżyjące; w nich kolor więcéj znaczy niż sam rysunek; — niebo np. czemżeby było bez koloru? Ptak nawet jedynie nas barwnością piórzystéj swéj szaty przynęca.

Mógłby tu również kto zapytać, co jest trudniejszém dla malarza: rysunek, czy koloryt? I na to pytanie nie da się teoretykowi stanowczo odpowiedzieć; tyle jednakże wiemy z pewnością, że rysunku mogą nauczyć szkoły, w których jeźli nie mamy doskonałych teoryi, to mamy przynajmniéj jakie takie zasady, pewne reguły, pewne miary, przez tradycyą i przez doświadczenie podane; — w kolorycie zaś nie masz ani teoryi, ani zasad: uczeń zostawiony jest samemu sobie — własnemu smakowi, naturze, wzorom. — Rysunku trudność polega na pewnem zawisłem, a przecież ścisłem, logicznem myśleniu — na kombinacyach najrozmaitszych; koloryt znów dla tego tak jest trudnym, że jedynie od instynktu zawisł.

W śpiącéj Wenerze Jakobsa połączyły się obiedwie te trudności; nic bowiem nie masz trudniejszego, jak dobrze odrysować obnażoną kobietę — nic trudniejszego, jak dobrze odmalować ciało ludzkie. — Jakiéjże to znajomości wewnętrznego organizmu ciała ludzkiego potrzeba, aby całą grę muszkułów i stawów — wszystkie wklęsłości i wypukłości oddać zewnętrznie. — Tu samo oko nie wystarczy; malarz tak zwany historyczny ma to ze snycerzem wspólnego, że musi być dobrym anatomem. — Powierzchnia bowiem, zewnętrzność organicznéj natury, niczem innem nie jest, jak tylko wiecznie mieniącem się pojawem wnątrza. — Ta zewnętrzność — ta powierzchnia tak ściśle połączona jest z ową zawikłaną, z ową rozmaitą — delikatną budową wnątrza, że sama niejako wnątrzem się staje. — Znać przeto najdokładniéj to wnątrze powiniem malarz historyczny, — a przy tem wszystkiem powinien być artystą więcéj niż uczonym, — powinien niejako zapomnieć o owym anti-estetycznym

muszkule, o jego giętkości — sile — wypukłości; — powinien w trupa anatomicznego wlać życie i piękność. Tem trudniéj przeto jest malować kobietę nagą, że w niéj jak najściśléj połączyć trzeba dwie własności anatoma i artysty; — trzeba tam wydać i wydźwignąć wszystkie muszkuły — wiązy i kości, a przytem tak je trzeba okryć zewnętrzną powłoką, aby widz każden zapomniał, że i w najpiękniejszéj kobiecie jest szkielet!

Oto są trudności rysunku — nierównie większe trudności napotyka malarz w inkarnacyi — w kolorycie ciała ludzkiego. Farby żywiołowe, które w fizyologicznych, fizycznych i chemicznych fenomenach rozpojedyńczone widzimy, uszlachetniają się niejako w organicznem zastósowaniu i użyciu. Najwyższą organiczną istotą jest człowiek; jego skóra, jako powierzchnia najdoskonalszego ustroju, musi nam oczywiście objawiać najpiękniejszą harmonią kolorów. — Uczucie tego cielistego koloru wymaga tak rozmaitych, rozlicznych, drobnych i delikatnych operacyi oka, ducha i ręki, że kto doszedł do tego uczucia, ten najważniejsze zawody w technice malarstwa już przezwyciężył. Ta białość soczysta, która jednak bladością nie jest, ta rozkoszna rumienność, którą niewinność, młodość, czerstwość, skromność lub wstydliwość krasi lica dziewicze; ten brzask różannéj jutrzenki, ten błękit pogodnego nieba, przez które się żółtawy płomyk słońca przebija, ta krew, to życie, które gra pod miękką tkanką skórki elastycznéj i dziurkowatéj — to wszystko może aż do rozpaczy doprowadzić malarza!

Cóż dopiero mówić o téj ciągłéj zmianie ciała ludzkiego! Każesz się n. p. malować — usiadłeś — malarz przeniósł już oko swoje z ciebie na płótno — maluje, a tym czasem twarz twoja co chwila się odmienia; przyjdą ci na myśl uwagi księdza Baki, albo rzeczpospolita Babińska, wnet uśmiech ironiczny siada na ustach; przyjdzie ci na myśl rycerz z pod Cecory, albo niedole obecne, wnet smutek czoło zachmurza; przyjdzie ci na myśl twój przyjaciel — albo piękna — wnet serce żywiéj uderza, krew się zagrzewa, rumienią lica — błogość się jakaś rozlewa po twarzy, a szczęście z pod skóry wygląda! — Cóż wtedy biedny malarz ma począć? — Twarz twoja męczarnią jest dla niego, bo płótno nie chce się poruszać, rozciągać, rumienić lub blednąć w miarę owéj nagłéj zmiany tego leciuchnego, ruchliwego tchu, który się duszą zowie.

Nuż zważmy jeszcze na cèrę namiętności; bo czyż każda namiętność nie ma swojéj właściwéj cery? czyż ta cera nie odmienia się na każdym stopniu swéj namiętności? Kiedy n. p. gniew duszę zapali, wtedy płomienią się oczy, goreją lica; kiedy gniew ten w zapalczywość przejdzie, wtedy ściska się serce, bladość okrywa czoło i lica — drzą usta, a oczy błądzą niepewne, przygasłe. Miłość nareszcie, rozkosz, pożądliwość, czyż każda z tych namiętności nie barwi inną cerą piękności ukochanéj?

Powtarzam, że te wszystkie trudności mogą do rozpaczy przyprowadzić malarza; że tysiące malarzy umarło, nie poczuwszy ciała ludzkiego, że tysiące ich jeszcze umrą, nie czując go wcale.

Jeżli zważęmy na trudność zadania, wtedy nam przyznać wypadnie, że p. Jakobs pięknie je rozwiązał. Proszę tylko spojrzyć na to ciało prawie przejrzyste, tak lekko rzucone na łoże rozkoszy — tak błogo marzące, jak miłość! Jest w téj Bogini miłości coś boskiego i coś miłosnego; możnaby nawet powiedzieć, że Cythera, bogini miłości greckiéj, nie powinna być tak eteryczna, tak idealnie smukła i smagła; powinna to być więcéj kobieta Titiana, kobieta z krwi i ciała. — Tylebym zarzucił błędnemu malarza pojęciu Wenery, chociażby i to usprawiedliwić można w części położeniem, w jakiém Wenus zasypia; widać tu niejako profil tylko, tylko $\frac{2}{3}$ ciała całego.

Co zaś do wykonania, niepodobna jest pochwalić całéj górnéj części Wenery; jest bowiem w całéj téj górnéj części coś takiego, co niezadowalnia patrzących; ta pierś n. p. nie oddycha owém tchnieniem miłośném, z którego płynie ambrozya rozkoszy — nie słuchać tam w niéj bicia serca przepełnionego współczuciem; w téj głowie w górę zadartéj nie masz nic nęcącego — na tém czole zwężonem, na téj twarzy skróconéj nie widać błogich snów miłości, na tych brwiach zapadłych nie widać marzeń rozkoszy; zdaje się, jak gdyby ta głowa była komplementem wymalowanym dla jakiéj przyjaciołki malarza, która mu za model służyła. Znawców i artystów również i piersi Wenery nie zaspokoją! nie są to dwa bliźnięta jednorodne, czyste, przejrzyste, jak dwie krople rosy — pełne, przebrana życiem, jak dojrzałych winogron parka; przedział pomiędzy niemi zbyt wielki, artysta nie wiedział sobie snać rady i na całą tę świątynię szczęścia ziemskiego rzucił cień zbyt mocny; co się godzi za błąd wielki uważać, bo mówią powszechnie, że najpiękniejszą częścią ciała kobiecego są piersi — natura zdaje się sama chciała tém uposażeniem wskazać przeznaczenie kobiety, zdobiąc i upiększając przedewszystkiem to mieszkanie uczuć najświętszych, uczuć kochanki — żony — matki — przyjaciółki; Występkiem jest nie szanować tych uczuć nawet w malarstwie. Za to w całéj dolnéj części Wenery chciał niejako malarz powetować usterki górnéj, miał też nierównie mniéj trudności do zwalczenia; z duchem roz-

stał się w licach i piersiach, tu go tylko zajmowała technika, którą w wysokim stopniu doskonałości posiada. Cóż to za inkarnacya tych nóg — jaka okrągłość, miąższość, przejrzystość, soczystość — jakie życie wydziera się z pod téj skórki, która się zdaje oddychać porami; zwłaszcza w spodniéj nodze od lędźwi, aż do kolana, zawstydził malarz niejako przyrodę! — Podobną piękność doskonałą powinny oczywiście odpowiednie piękne przedmioty otaczać; łoże, na którém Wenus zasypia, dosyć jest miękkie i puchowate — a jednak nie jest owym piernatem niemieckim, na którym przed dwoma laty widzieliśmy zasypiające dzieci Edwarda; nie tyle podobają się owe róże rozsypane na posyłaniu i ów nieszczęśliwy amorek, który ma być symbolem miłości snu nieznającéj.

Nie podobna mi jest nie nadmienić, że p. Jakobs miał niezawodnie dwa doskonałe wzory przed sobą, znajdujące się w galeryi Drezdeńskiéj, t. j. Wenerę Titiana, która jest nierównie więcéj ziemską, więcéj cielesną i Wenerę Palma Vecchio, która w tém samém ułożeniu zasypia, co Wenus p. Jakobsa, a przecież zachwyca szlachetnością, blaskiem i wdziękiem boskiego oblicza.

Dla przekonania czytelników moich, że sprawiedliwie tak wysoko cenię inkarnacyą Wenery Jakobsa, przechodzę obecnie do obrazu wiszącego na przyległéj ścianie, przedstawiającego Samsona, kiedy śpiącemu Delila włosy obcina. Układ tego obrazu najnieszczęśliwszy, wyglądający z po za zasłony rudowłosy Filistyn, zbyt nam mordercę dzieci Edwardowych przypomina, aby pochodzenie jego mogło być nie podejrzaném. Zresztą Samson sam, czyż widział kto kiedy, aby mąż zasypiący w téj nienaturalnéj, męczącéj pozycyi, zawieszający cały ciężar olbrzymiego ciała na jednym tylko ręku, nie miał się przebudzić w chwili, kiedy go zdradza żona występna. Nie jest to Samson pogromca, bohatyr; malarz chciał tu ogromem rozmiaru zastąpić wyraz téj siły olbrzymiéj, która w muszkułach spoczywa — massa przecież nie zawsze jest dowodem potęgi, potrzeba w nią raczéj wlać ducha siły. Miał tu w prawdzie malarz dwa sprzeczne, trudne do pojednania i do wyróżnienia zarazem stany: siłę przyrodzoną Samsona i osłabienie snu; obowiązkiem jest jednak artysty podołać przedmiotowi, któren sobie obierze. Również i inkarnacya nie jest szczęśliwa, ani odpowiednia; ciało Samsona nie dość twarde, zwięzłe, że tak powiem, kanciate; ciało znów Delili nie dosyć kobiece, miękkie i jasne; lewego tylko ramienia zaokrąglenie i téj białéj szaty wdzięcznie rzucona zasłona, godne są pochwały; ta lewa ręka więcéj nam mówi, niż sama twarz Delili, w któréj nie widać żadnego powodu zdrady, ani miłości występnéj, ani małżeńskiéj nienawiści, ani zemsty za jakąbądź wyrządzoną krzywdę, ani podłości upadłego charakteru. — Jest to wada, w którą częstokroć popadają płodni powieściopisarze, co nie powodując wypadków, każą się jednym nieszczęśliwym nienawidzić, drugim kochać, tych rozdzielają, tych łączą na wieki, nie dla tego, aby się szczerze kochali, ale dla tego jedynie, aby powieść zakończyć. *R. W. Berwiński.*

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Korrespondencya.

Kilka uwag nad literaturą, a zwłaszcza niemiecką.

Byłem dzisiaj na kursie literatury niemieckiéj pana Libelta. Nie wiem, czy mi czas i okoliczności pozwolą korzystać nadal z pięknego wykładu uczonego mowcy; nie wiem, jak pan Libelt rozwinie w przyszłych prelekcyach dzisiejsze swoje pomysły; — nie moją też jest rzeczą, anibym temu sprostał, rozbierać krytycznie jego prelekcyą; chcę Ci raczéj przesłać, szanowny redaktorze, kilka własnych uwag nad literaturą niemiecką, które mi słowa przez p. Libelta dzisiaj wyrzeczone na myśl nasunęły. — Mówił on o okresach literatury, które oparł nie na wypadkach historycznych, jak się to zwykle dotąd działo; — dowiódł bowiem, że literatura nie zawisła bezpośrednio od hitorycznych wypadków; dowiódł, że jak te wypadki na literaturę, tak i ona odwrotnie na historyą wpływ swój wywiera; dowiódł daléj, że literatura niemiecka jest zupełnym, skończonym, zaokrąglonym ustrojem, że tém samém musi mieć swój początek, szczyt i koniec; zauważał ją przeto samą w sobie, a porównał do doby dziennéj, która ma swój ranek, swój zenit i swój wieczór. — W pięknym nader wykładzie, pokazał daléj, jak w zmierzchu porannym zolbrzymiały wszystkie postacie, które się na jéj tle odbiły, jak w jasném świetle południa wystąpiła reformacya w nierównie mniejszych rozmiarach, ale wyraźnych, jasnych, wybitnych, — jak wreszcie pod wieczór literatury pokazały się w świetle zachodzącego słońca wielkie olbrzymy: Gete, Szyler, Jan Paweł Rychter i inni, co długi cień rzucili przed siebie. — Odtąd ma się zacząć długa noc literatury niemieckiéj!

Nie wiem, powtarzam, jak p. Libelt rozwinie daléj tę myśl podziałową na drodze historycznéj, — niechże mi więc wolno będzie to samo pojęcie literatury niemieckiéj rozwinąć więcéj na drodze filozoficznéj, na któréj tak samo do tego doszedłem przekonania, że literatura niemiecka, obiegłszy cały zakres widnokręgu, ku zachodowi swemu się schyla. — Nie każden zapewne zgodzi się na to, i zastawiać się będzie tém mnóstwem dzieł, które obecnie w Niemczech drukują, a które świadczyć powinno o ruchu i o życiu umysłowém Niemców. Tym wszystkim przypominam to, co Arystarch, ojciec Theodeklesa, mówiąc o mnóstwie uczonych swego czasu, powiedział: »w starożytności zaledwie naraz siedmiu było filozofów; dzisiaj trudno jest tyle nieuków znaleźć.« *) Jeżeli w naszych czasach czujemy się przymuszeni powtórzyć o Niemczech te słowa Arystarcha, (bo dziś każden nieomal Niemiec jest pisarzem, każden pisarz doktorem, a każden czytelnik pacyentem), przyznać zarazem powinniśmy, że błędném jest twierdzenie, jakoby czas nasz jedyny był w swéj produkcyi literackiéj, jakoby działalność ducha i rozwinięcie jego nigdy jeszcze tak wysoko nie były posunięte, — zwła-

*) Plutarch: περι φιλαδελφίας.

szeza, kiedy zważemy na trudności, jakie do zwalczenia miała starożytność, nieznająca ani sztuki drukarskiéj, ani sztuki robienia z dwunastu książek, książki trzynastéj.

Przyznając wreszcie, że czas nasz przewyższa może wszystkie czasy poprzednie ilością dzieł wydawanych, zapytaćby nam się trzeba, czy mnogość i liczba są rękojmią postępu w literaturze,**) i zkąd w Niemczech pochodzi ten ogromny napływ i ta massa książek?— czy z zawikłania stósunków socyalnych, czy z potrzeby spółeczeństwa, czy z potrzeby piszących? Te przedwstępne pytania wypadałoby roz strzygnąć nasamprzód, ale że gotową na nie odpowiedź znajdziemy w ciągu dalszéj rozprawy, wprost więc przystępuję do rzeczy.

Literaturę uważam trojako: 1) samą w sobie, 2) okoliczności, które na nią wpływają, i 3) wpływ wywierany przez nią na życie publiczne i prywatne.

Literatura jest utrwalonym bytem myśli, w którym się życie duchowe i wszechwiedza pewnego ludu, albo narodu zawarła. — Jako całość organiczna, objawiająca nam mniéj więcéj różnostronne wykształcenie tego lub owego narodu, różni się ona od słowa, które jest ulotną, przemijającą formą uczucia, albo woli skierowanéj na czyn. — To słowo było na początku jedyném narzędziem, przez które się działalność ducha ludzkiego objawiała; nim się w pismo wcieliło, kształciło się w ustnych podaniach i było dostatecznym środkiem udzielenia się wzajemnego z wiedzą i uczuciem. (Sagi, Myty.)

Wszelką zaś podstawą wiedzy, wszelkim bodźcem działalności ducha, jest chęć poznania świata, jest chęć poznania wzajemnego stósunku rzeczy skończonych pomiędzy sobą, a ostateczną przyczyną wszech rzeczy. Czy to na skrzydłach poezyi uniesiesz ducha twego natchnieniem, czy to badawczem okiem historyka przebiegasz obszar dziejowy, albo zapuszczasz ducha twego w głębie spekulacyi; czy to przyrodę w jéj niedocieklej śledzisz pracowni, alboli rozmierzasz szlaki ciał niebieskich; zawsze i wszędzie ta sama siła pcha się naprzód; ta sama chęć, ten sam popęd wewnętrzny zapala się i unosi. — Zarozumiałość tylko ślepa śmie twierdzić, że jedna siła wyższa, wznioślejsza tu jest od drugiéj. Homer n. p. malował rządy Bogów na ziemi, przedstawił nam stósunek wolności do musu nieodpartéj konieczności. — Klopsztok i Milton nic innego nie przedstawiają; a filozof szukający stósunku nieskończoności do skończoności, szuka tego w pojęciu, co wieszcz w obrazie wystawił. Dążenie, cel ostateczny zawsze ten sam!

Działalność wszakże duchowa objawia się na rozmaitych stopniach siły i potęgi. Od dostrzeżenia, kiedy subjekt w objekcie się gubi, przechodzi do wyobrażenia, zkąd przez przypomnienie do porządnego, ścisłego, wiedzącego się myślenia przechodzi. Ten sam porządek stopniowy powinien się znajdować w postępie każdéj literatury, która jest objawionym duchem człowieczeństwa. Widzimy przeto w każdéj takiéj literaturze nasamprzód poezyą, późniéj historyczne, albo czysto empiryczne wiadomości (historyą, prawo, medycynę); a w końcu dopiero filozofią, czyli wszystko przenikający, wszystko podług pewnych idei kształcący i porządkujący rozum.

Nie ma się przez to mniemać, aby każdą z tych władz ducha wyłącznie tylko na tym lub owym stopniu rozwinięcia napotkać można; w dziecku bowiem jest już pewna rozwaga, pewne robienie wyboru; tak samo w epicznych już poetach znajduje się już filozofia, jakkolwiek jeszcze w szacie allegorycznéj; również przy późniejszym kierunku filozoficznym istnieć mogą oba poprzednie kierunki; zawdy przecież jeden z nich podrzędnym jest drugiemu, dostarcza mu tylko materyału, osnowy; i to jest właśnie, co stanowi charakter literatury.

Odpowiednie trzem stopniom działalności ducha ludzkiego, trzy są przedmioty, około których działalność ta szczególniéj się obraca, t. j. przyroda, życie i człowiek sam (das Ich); w tych trzech przedmiotach szuka człowiek tego, co jest pięknem, dobrem i prawdziwem.

**) Chińska literatura przewyższa niezawodnie wszystkie literatury europejskie obfitością i liczbą.

W czasach jednakże poezyi, w których wyobraźnia innym władzom duszy panuje, jest jeszcze poznawanie człowieka bezpośrednie; duch i natura jeszcze się nie rozpadły, czyli, jak Mochnacki mówi, duch się jeszcze z natury nie wyłonił, nie pojmuje się jeszcze samodzielnie, nie może jeszcze przyrody stawic w brew na przeciw sobie, ale żyje w jéj bezpośredniem dostrzeżeniu. Jeżeli do tego dostrzeżenia przychodzi przez entuzyam, przez silne wstrząśnienie wszystkich władz swoich, wtedy dostrzeżenie zamienia się na inspiracyą, diwinacyą i objawienie.

Pierwszym przeto mędrcem ludzkości był wieszcz, pierwszém źródłem poznania inspiracya, pierwszém objawieniem poznania, poezya.

Jeżeli to dostrzeżenie zwróconém jest na działanie absolutnego ducha w naturze, wtedy powstaje kosmogonia i objawienie religijne, jeśli przedmiotem jego jest życie ludzkie, wtedy powstaje epos. — Poezya jest jedynym owocem, który w téj chwili wydać może z siebie duch ludzki; świat zewnętrzny kształtuje się w jego wnętrzu plastycznie; człowiek jest tylko zwierciadłem, odbijającém kształty i promienie tego zewnętrznego świata.

Ztąd nigdzie jeszcze w téj epoce nie widać indywidualności, podmiotowości (subjektywności),*) osobistego widzimisie; ztąd owa pewność, owa jasność, dotykalność; wszystko jest żywym obrazem czynu, wszystko osobą, działaniem; nigdzie abstrakcyi; wszędzie świat pełen życia, zaludniony istotami z krwi i ciała, do zmysłów mówiącemi, bo stworzonemi przez zmysły. — Język jako forma uczucia i wyobraźni dąży do odpowiedniéj im majestatyczności, do tego samego życia, czyli ruchu rytmicznego — do téj saméj cielesnéj okrągłości wiersza. — Człowiek w tym okresie nie zna jeszcze prozy.

Na piękności wykształceni poeci dążą do dobrego. Ich poznanie nie jest jeszcze bezowocną, płonną wiedzą; inspiracya, natchnienie, któremu to poznanie są winni, wpływa potężnie na ich wolą, która się do dobrego nakłania. Piękność upatrywaną w przyrodzie, objawiają w poezyi; dobro w religij; stają się przeto twórcami kultury, nauczycielami ludzkości. — Przyroda jest ich energią, ona ich wykształciła na mędrców. — Jest to zaranie literatury.

Po objawieniu następuje tradycya; po bezpośredniem poznawaniu poety i wieszcza następuje wiedza doświadczenia. Człowiek stał się uczniem — uczy się tego, co się poprzednikowi jego bezpośrednio objawiało. Czystéj, bezwzględnéj piękności i dobrego, które dawniéj w rzeczywistości zauważał — nie znachodzi już teraz w życiu; wszelkie zatem usiłowania swoje łoży na pozyskanie tego, co jest pożytecznem. — Życie i zjawiska natury stały się pasmem twierdzeń, do których pojęcia dojść można jedynie na przykréj drodze pracy i mozołu. Doświadczenia empiryczne rozwijają się pod podwójnym wpływem przypadkowych odkryć i naumyślnych poszukiwań. — W nich widzi człowiek prawdę — i tak zwolna powstaje dogmatyka, która się kontentuje objaśnieniem i rozumieniem tradycyi.

Obok tego działania pamięci, działa w prawdzie jeszcze i wyobraźnia; są jeszcze w tym okresie i poeci, ich poezye przecież są wypływem indywidualizmu (subjectiv); nie odzwierciedla się w nich harmonia świata; nie są one już teraz wielkim, prawdziwym wizerunkiem stawania się przyrody, ani obrazem życia ludzkiego, ani objawieniem Boga przez usta poety;

*) Wyraz przedmiot utarł się i dostał prawo obywatelstwa w języku polskim; wyraz podmiot tłómaczony tak samo z subjektu, jak przedmiót z objektu, nigdy się zapewne nie przyswoi; bo nam już dzisiaj trudno zrozumieć, co to jest: *se rebus submittere*; człowiek chce panowania nad światem, zanadto już stał się sobą i osobą, a przytém za nadto się poczuł na siłach, aby tę silną osobistość chciał nazwać podmiotowością, aby ją chciał podmieść, poddać pod coś takiego, co nim samym nie jest.

ale są obrazem podrzędnych samegoż poety uczuć — jego walki wewnętrznéj ze światem zewnętrznym, albo jego wesela i szczęścia. Homerycznéj epopei nikt w tym okresie nie zdoła już wyśpiewać.

Gdzie prawdziwy duch poetyczny wzniesie się do prawdziwéj piękności, tam się w dramat wciela. Wiedza zwrócona w tym okresie na przyrodę, przeobraża się w nauki przyrodzone — zwrócona na życie ludzkie przeobraża się w dramat. Dramat jest jedyną formą, w którą teraz piękność się przyodziewa; dobrego zaś chce człowiek dopiąć krasomowstwem, przez które tak samo wpływa na wolą słuchacza, jak w dramacie na jego estetyczne uczucie.

Tak zwolna rozpada się i rozdrabia missya poety, która w starożytnym wieszczu (vates) jednorodną i jednotliwą była; nie przedstawia on już teraz połączonych w jedność: prawdy, piękności i dobrego; ród wieszczów rozramienił się na trzy gałęzie: uczonego, mowcy i poety, które znowu niezmierną moc pomniejszych puściły wyrostków. Tym sposobem musiał się język przekształcać na prozę; wiersz bowiem nie mógł wystarczyć tylu różnorodnym przedmiotom, zwłaszcza, że więcéj w tym okresie chodziło o rzecz samą, niż o jéj wpływ na wyobraźnią i na uczucie.

Na téj drodze przygotowywała się zwolna trzecia epoka: filozoficzna. — Człowiek musiał pierwéj błądzić po krainie marzeń — musiał żyć w poetycznéj extazie, musiał się późniéj uczyć, aby w końcu mógł myśleć rozsądnie. — Naród, który nie miał swego Homera, nie będzie zapewne nigdy miał swego Arystotelesa. Jak niegdyś wszelka wiedza zamykała się w poezyi, tak teraz stoczyła się w filozofią.

Z porządku rzeczy dogmatyka nastąpiła po objawieniu, z tego samego porządku musi po dogmatyce nastąpić krytyka. Co się poczęło produkcyą — to się spekulacyą, krytycyzmem dokonywa. Filozofia, jako wiadomość wiedzy, obejmuje wszystkie gałęzie duchowéj działalności, a obejmuje nie przez to, aby sama tworzyła, ale krytycznie; tak samo, jak rozum, jéj rodzic, ideje w pojęciach rozwija.

Pokazaliśmy wyżéj, że odpowiednie trzem stopniom działalności ducha, trzy są przedmioty, około których działalność ta się obraca, t. j.: przyroda, życie i człowiek sam. Filozofia, jako wiadomość wiedzy, obejmować winna wszystkie te trzy przedmioty; dzieli się przeto na filozofią natury (fizykę starożytnych), na praktyczną filozofią i na filozofią ducha, czyli logikę, a jest najwyższą wiedzą człowieka o sobie i o świecie zewnętrznym. Prawdę i piękność uważa jednakże filozofia jedynie za przedmiot spekulacyi. Gdzie praktyczna jéj część: ethyka, filozofia prawa etc. na życie się rozciąga, tam tysiączne napotyka trudności; najszczytniejsze zatém jéj ideje w pojęciu na zawsze zostają; życie nie jest zdolne przyjąć ich w siebie i na żywotne formy wyrobić. To, co było samo przez się piękném i dobrém, nie objawia się już ani w czynach, ani w dziełach. — Możnaby powiedzieć, że filozofia jest myśl pomnożona przez myśl + byt — poezya zaś była byt pomnożony przez byt + myśl.

Twórcza zatém produkcya ducha poprzedziła płonną i niepłodną siłę spekulacyi. Produkcya ta ukształcała wszystko na czyn; geniusz objawił się już pierwéj we wszystkich formach, dzieło twórczości już było dokonane, nim przyszła pora badania, roztrząsania, porządkowania; a jakkolwiek filozofia zbogaca umysł, jakkolwiek rozszerza i rozjaśnia poznanie człowieka; teorye jéj wszakże nic nie tworzą, ani w życiu, ani w kunsztach. Tak n. p Plotinos, Filostratos, Longinos zajęli szczyt teoryi kunsztów — a pytam się, gdzież na ów czas były kunszta greckie? Teorya filozoficzna tém daléj naprzód się posuwa, im daléj w tył cofa się rzeczywistość; jest to starość, któréj wiedza tém szersza, im więcéj życia ma poza sobą, im krótszą przyszłość przed sobą. Filozofia podobna jest jesieni żniwującéj owoce wiosny i lata, po któréj nastaje zima używania.*)

Chwila ta jest owym wieczorem literatury, o którym mówił pan Libelt. Po całodziennéj pracy kilkunastu wieków nastaje noc wypoczynku; wypoczynek ten wszakże śmiercią jeszcze nie jest — musi się przeto jeszcze w nim życie znajdować — a jakkolwiek letargicznie, musi się to życie duchowe w jakiéj bądź formie objawiać. Nie wiem, jaką pracę umysłową wyznaczy p. Libelt Niemcom w téj porze. Ile mnie się zdaje, można na pociechę niemieckim literatom powiedzieć, że sielanka, satyra, komedya i romans mogą się obok filozofii ostać i utrzymać; w ich formy zdają się wszystkie rodzaje nowszych poezyi zapychać i koncentrować. Niżéj będę się starał twierdzenie to usprawiedliwić.

Całkiem zaś niezawisłą od czasu i okoliczności jest liryka i nauki ścisłe (exacte); liryka dla tego, że zaspokaja wewnętrzną potrzebę serca; nauki ścisłe, że zaspokajają zewnętrzne potrzeby życia.

Zbyteczną byłoby dowodzić, że dzisiejsza chwila literatury niemieckiéj przypada właśnie na epokę filozoficzną, która już nawet na zenit swój zaszła; na tym zenicie spekulacyi nie mogła filozofia stanąć i ostać się długo, zwróciła się przeto na nowo do grubéj materyi, i poczęła przesiąkać i wciskać się w pojedyncze wiadomości. I w filozofii przeto widzimy jeszcze pod wieczor literatury niemieckiéj pewien ruch i pewne życie. — Jestto czwarta epoka, — w któréj filozofia już naprzód nie postępuje, ale raczéj przetrawiać poczyna nagromadzony materyał.

Kant, Fichte, Schelling i potężny Hegel, a z nimi cała rzesza pomniejszych filozofów, składają jednę wielką grupę, podobną téj, którą przed nimi złożyli Plato, Epikur, Antystenes, Zeno, Arystoteles etc. — Olbrzymi Arystoteles, z całą swoją wiedzą niezmierną, z całym połyskiem dowcipu i rozumu, stoi niby jaka latarnia morska, z któréj szczytu błyszczy ten płomień nieśmiertelny, co wieki dalekie oświecać będzie; — ale jest on zarazem i metą, około któréj rydwan filozoficznych badań zawraca. — Jakkolwiek Arystoteles dopiero obudził pomiędzy Grekami prawdziwy zapał filozofowania, — filozofia przecież nie zdołała się utrzymać na téj wysokości, na któréj on ją postawił. — A Hegel nasz, czyż nie stoi tak samo podobien granicznemu słupowi pomiędzy samodzielnie filozofującą, a reprodukującą epoką? — Najśmielszą nawet głowę, czyż nie zastraszy ta massa filozoficznego materyału, którą opanować trzeba, chcąc się wznieść do szczytu najwyższéj wiedzy o wiedzy najwyższéj! — Trudne jest bowiem zadanie, przewyższyć najwyższość, już osiągniętą! Na Heglu skończyła się trzecia epoka literatury niemieckiéj, epoka filozofii spekulacyjnéj. — I jakąż pracę rozpocznie dzisiejszy duch niemiecki, który obiegłszy całe koło wiedzy, sam się w niem zakreślił?.. Powiedzieliśmy dopiero, że się rozpoczyna czwarta epoka, reprodukcyjna, spożywająca, przetrawiająca, — zima używania.

---

*) Może ktoś zarzuci, że w każdym nieomal narodzie byli filozofowie przed epoką filozoficzną; odpowiadam, że i tu musiał Jan poprzedzić Chrystusa, że filozofia stopniowo się rozwijać musiała. Napotykamy w prawdzie niezawisłe, potężne geniusze w czasach przedfilozoficznych; ich wiedzę wszakże esoterycznie uważać należy; stoją oni ponad swoim czasem, jak n. p. ów mnich Rogier Bako; przyczyniali oni się zresztą najwięcéj do podźwignienia wiadomości, które ścisłemi nazywamy. Jeśliby ktoś scholastykę chciał brać za epokę prawdziwéj filozofii, toć i ona przypada po okwitnieniu poezyi. Scholastyczna jednakże filozofia jest rośliną wykrzywioną, zawcześnie i za sztucznie dojrzałą, która nie osięgła swego pełnego, ostatecznego wzrostu i bytu, jak cały rozwój duchowy wieków średnich. Tak samo widzimy jeszcze poetów i w czasie filozofii, niektóre nawet rodzaje poezyi ściśle z nią się powiązały; ale krom tych nie można innych rodzajów uważać za rozwoje organiczne; są to raczéj odrębne, izolowane zjawiska. — Gdyby n. p. dzisiaj zachciało się epopeję pisać, podobien byłby Appoloniuszowi Rodiuszowi, Wirgilemu, Lucyanowi i t. d., którzy z nierównemi zdolnościami, ale zarówno nie w swoim czasie do pisania epopei się wzięli; albo li też poeta byłby od filozofii zawisły, jak n. p. Lukrecyusz; albo jak poetyczny drogoskaz na niebie, jak Aratus i Schöl.

Majestatyczny strumień filozofii spuszczają dzisiaj w mnóstwo pobocznych i pomniejszych strumyków i kanałów, aby nim zrosić przyległe pola i ogrody. — Puszczone w obieg wyobrażenia filozoficzne przeczyszczają się i zamieniają niejako w płyn, — aby przesiąknąć pojedyncze wiadomości — szczególniéj nauki przyrodzone, medycyny, jurysprudencyą i teologią. — Dzisiejsi filozofowie już nie spekulują samodzielnie; — starają się tylko o to, aby prawdziwe potrzeby człowieka i czyny jego pogodzić z principiami, z pojęciami filozofii; ztąd głównem ich zadaniem rozwijanie, rozjaśnianie i systematyzowanie tego, co już istnieje — co już jest *datum*; — ztąd to ciągłe dążenie do niewzruszonéj metody filozofowania. — Na tem dążeniu zyskać musi oczywiście historya filozofii, — ale filozofia sama zamienić się musi, jak niegdyś w starożytności, na słaby i niedołężny eklektycyzm; — dusze zaś prawdziwie wzniosłe i ogniste, kiedy już wszystkie szkoły dogmatyczne, a nawet skeptycyzm przebieżono, zwrócić się muszą, i zwracają się już dzisiaj do poetyczno-szczytnego mistycyzmu, który podobien jest zmierzchowi, zapowiadającemu noc bliską.

Z tą dążnością filozoficzną w ścisłym stoi związku wykształcenie języka na prozę, która zawdy dopiero z wiersza rozwinąć się może, tak samo, jak filozofia wywija się dopiero z umysłu, który żył w poetycznéj extazie; — Plato, Xenofon, Filistos, Liziasz etc. mogli się zjawić dopiero po Sofoklesie. Również i Niemcy mają już dzisiaj daleko po za sobą epokę szczytnego poetycznego zapału; ich Szyler, Gete, etc. spoczywa po szafach w pięknych francuzkich okładkach; Platena, Haufa, a obok nich tysiące pism czasowych widać równie na gotowalni niemieckich elegantek, jak na stole uczonych. — Są przecież i dziś jeszcze poeci; francuzkiemu nawet dramatowi nadał romantyzm, nowego zapędu i życia; Anglia miała swego Bajrona, a w Niemczech zabrzmiał wśród prozy filozoficznéj nie jeden piękny dźwięk liryczny. Ale wszakże to samo zjawisko widzimy i w literaturze greckiéj, którą zawdy za wzór uważać powinniśmy, jako rozwój organiczny, wolny od zewnętrznych, obcych wpływów. — I tam nic nie leżało odłogiem, ani dramat, ani Epos, ani liryka; czas Alexandryjski wydał wiele różnobarwnych owoców; ale któż nie dopatrzy się na ich fizyognomii pewnego silenia się, pewnego przymusu ducha, który je stwarzał; — któż nareszcie nazwie czas ów poetycznym? Filozofowie, mówcy, historycy, ściągają w téj epoce całą naszą uwagę na siebie — oni to występują na jaśnią, ale nie poeci; wyjąwszy może tych, którzy na wiek męzki, na wiek starości przypadają. Poezyi bowiem, malujących nam jedynie zgryźliwą ironią, albo rozdartą duszę poety; poezyi stworzonych podług pewnéj metody, według pewnych zasad sztuki, nie uważam za wolne naturalne płody ducha. Chociażby w nich najwięcéj było dowcipu, najwięcéj potoczystości, poprawności, gładkości; dostrzeżemy w nich zawsze chorobliwych śladów czasu, lub cierpień twórcy; ale nie dostrzeżemy znamienia geniuszu, który idąc za wewnętrznym, boskim popędem duszy, stwarza nam w idealnych, śmiałych i ogromnych zarysach świat nowy, oparty na węglach tego świata rzeczywistego, który nas otacza. Geniusz chce tworzyć; z działania, którém ideje swoje żeni ze światem, wypływają dzieła jego; ale dzieła takie nie powstają co dzień, ani co rok, ani w każdym czasie, bo i geniusze nie co dzień się rodzą; — dzieła takie zjawiają się tylko raz jeden i tylko w jednym czasie. Dramat n. p. nowoczesny podniósł Szekspir na szczyt doskonałości; i któż jest dzisiaj tym Bogiem, coby raz jeszcze świat ten na nowo chciał stworzyć, i to jeszcze w czasie, w którym charakter i czyn coraz się więcéj zacierają?

Francuzka dramaturgia w klassykach ostateczne swoje wykształcenie już osiągnęła; jéj usterków i błędów szukać należy w rozwoju narodowym, który skrzywiono w postępie, podcinawszy mu korzenie średniowiecznego życia. Naród, który nie ciągnął soków żywotnych z żywiołów narodowych, nie mógł wydać narodowych owoców. W najnowszych dopiero czasach, kiedy lud francuzki wywalczył sobie w części przynajmniéj byt swój narodowy i wolność, widzimy dźwigającą się szkołę romantyczną. Nie mogło się też bez niéj obejść; duch bowiem ludzki, jeśli się w pojęciach swoich przekształca, czyli właściwiéj, jeśli się rozwija, to we wszystkich kierunkach odbić musi myśl zasadową (tendencyą) odrodzania swego. Dzisiejsze dążenie literatury francuzkiéj jest dalszym ciągiem rewolucyi; ztąd to w niéj owe drgania konwulsyjne, owo pasowanie się z przesądami, owo rozczarowywanie wszystkiego, co dotąd świętém było; ztąd w literaturze francuzkiéj tyle pierwiastku burzącego, analitycznego; ztąd tyle brudów, tyle wyświecenia zbrodni, podłości, tyle ocienienia cnót i piękności! Niektórzy uważają to za postęp i wielką przyszłość rokują literaturze francuzkiéj; wielu nawet potępia Michała Grabowskiego za to, co o literaturze szalonéj napisał, robiąc mu zarzut niesłuszny, jakoby z duchem czasu nie postąpił, jakoby przez to nie mógł zrozumieć dążenia dzisiejszéj literatury francuzkiéj. Nie uwódźmy się wszakże tém słowem postęp, nie myślmy, aby każda nowość była bezwzględnym postępem; zresztą i to wiedzieć nie zawadzi, że ten kierunek, jaki wzięła nowa szkoła romantyczna w Paryżu wcale nie jest tak nowym, jak się zdaje na pozór. Podobien wypaczony kierunek widzimy i w literaturze greckiéj, a widzimy go w téj właśnie chwili, kiedy i życie polityczne i życie prywatne w Grecyi rozwalniać się już poczęło, kiedy literatura piękna luminarzy swych już była stradała, a zapał prawdziwie poetyczny dogorywał.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Doniesienia literackie.

W księgarni Żupańskiego wyszły:

Tablice synchronistyczne do historyi Polskiéj ułożone przez S..... w Poznaniu, nakładem księgarni Jana Żupańskiego. 1841.

Tabelle synchronistyczne do historyi jakiego narodu mają to dobrego, że wydatniejszy obraz dziejów jego stawiają w perspektywie dziejów powszechnych; że widać każdego wieku i każdego roku, jak się miała oświata i ruch dziejowy jednego narodu do oświaty i dziejów tego wieku i roku w ogólności. W tym tylko stósunku może i powinna być pojmowana historya każda szczególna, inaczéj jest tylko jedną cegłą obnoszoną na pokaz z budynku. Nowsze w ogólności wieki od reformacyi począwszy, tak ścisło spoiły z sobą dzieje wszystkich narodów europejskich, że bez oglądania się nieustannego na wszystkie strony, ani kroku nie można postąpić w dziejach jednego z nich. Pod tym względem tak nieocenionéj były wartości atlas i tablice Las-Casesa, nadzwyczajnie ułatwiające przegląd całości i spamiętanie wypadków.

Z natury rzeczy témi samémi korzyściami odznaczają się tablice synchronistyczne pana S. do historyi polskiéj. Kolumny innych dziejowych narodów, stawione następstwem lat obok kolumny dziejów Polski; tudzież kolumna oświaty polskiéj — do któréj tylko autor niepotrzebnie wojowników polskich, bo nie wiedzieć, z jakiego tytułu domięszał — położona obok oświaty powszechnéj; zgoła cały układ tych tablic, dziwnie daje obraz dokładny i obejrzysty. Tablice opuszczają czasy bajeczne, i zaczynają dopiero od Mieczysława; rozumiemy, że i tego peryodu opuszczać nie były powinny, już przez sam wzgląd synchronizmu zamroku historyi polskiéj z ogólnémi dziejami świata, a potém Kruszwica, Gniezno, Poznań, Kraków, mogiły Krakusa i Wandy, Kiryło i Strachota w Bulgaryi i Morawii, Piast, Ziemowit, Popiele, Ziemomysł, będą zawsze światła historyczne w tym pomroku dziejów Polski, i wyrzucić ich z historyi nie można.

Tablice kończą na trzecim rozbiorze Polski 1796. roku. Prawda, że tu koniec bytu politycznego, ale nie koniec życia narodowego, nie koniec oświaty. I owszem przeobrażała się Polska w różne postacie polityczne, i miała i ma swoją historyą pod trzema mocarstwami, między które rozebraną została. Dzieje w rozumieniu wyższém, działań ducha postępowego przez narody, w Polsce nie 1796. roku dopiero się skończyły, koniec ich daleko wcześniejszy, ale historya

wypadków jak trwała przed rokiem ostatecznego rozbioru Polski, tak trwała i potém i trwa dotąd.

Uzupełnione na ten sposób w obu końcach tablice rzeczone, zyskałyby wiele. Wartość ich wszakże i tak jest wielka, i dla tego nie wątpimy, że się doczekają drugiego wydania, wtedy niedostatek ów dopełnionym być może.

Tablice te powinny się znajdować w ręku wszystkiéj młodzi, co się znawstwu dziejów narodowych poświęca; życzyćby oraz należało, aby były po szkołach zaprowadzone.

W księgarni Behra w Berlinie wyszło nowe bardzo gustowne wydanie dziełka »o naśladowaniu Chrystusa« ktore i w tém wydaniu dziełem Tomasza à Kempis mianują, jakkolwiek każdy choć najmniéj z literaturą obeznany obecnie autora nazwisko zna. Wydanie to ozdobione kilku dość dobremi rycinami i wydrukowane na dość pięknym papierze.

Dziwimy się, że dotąd nikt się nie znalazł, coby zwrócił uwagę publiczności czytającéj na to dzieło — w zasadach średnich wieków i pietyzmu pisane — jak bardzo przekręca autor naukę świętą Boga-człowieka i jak dotąd zły wpływ dzieło to wywierało i wywiera mianowicie między członkami religii katolickiéj. Książka, która naucza, w piekle
»leniwi i gnuśni gorącemi kolcami bodzeni będą a obżarci nie-
»zmiernym głodem i pragnieniem dręczeni będą; tam lubieżni i
»rozpustnicy oblewani będą gorejącą smołą i siarką smrodliwą,
»a zawistni jako psy wściekle z bólu i zazdrości wyć będą;«
któréj autor szatana, kuszącego w ludzkiéj postaci opisuje; tę książkę każda prawie matka zaleca dzieciom, a czytając ją z niemi, wpaja już w młodości duch pietyzmu i fanatyzmu i przytłumia w sercach swych dzieci wszystko, co jest szlachetném w zasadach Chrystusowych. Niektóre miejsca w najwyższym stopniu obrażają wszelkie uczucie obyczajności. Najbardziéj charakteryzujących niemoralność dzieła tego nie podobno nam przytoczyć, przytoczymy więc z nich to, co najmniéj uczucie czytelników naszych obrazić może.

(Tomasz à Kempis księga III. rozdz. XIII. 3.) »I często kroć w téjże saméj rzeczy, z któréj czerpią rozkosz, znajdują karę boleści i słusznie im się dzieje, że gdy szukają nierządnéj rozkoszy, nie bez trwogi i goryczy używać jéj mogą.« — 4) »O jak krótkie i zwodnicze, jak występne i sromotne są te rozkosze.«

Moraly takie należą do dziennika lekarskiego, nie zaś do książki, którą zalecają młodzieży i kobietom naszym. Jakże wcale innem w tym rodzaju jest dzieło pod nazwą »Die Stunden der Andacht.« Czemuż dzieła takiego przetłómaczoném dotąd nie mamy. Lecz prawda! tam nie masz piekła z gorejącymi w piekle duszami.

Przekład, o którym mówimy, jest pod każdym względem bardzo słaby. Błędy, jak naprzykład:
»który modląc się za wami, was też o modlitwę za mną pokornie proszę« (zamiast »za siebie pokornie prosi«), albo
»stroskanego który znalazł radość nieprzebraną, rozbitka (!) który znalazł schronienie«,
na każdéj prawie znajdują się stronie. Co się zaś tycze natchnionego ducha tłómacza, dość przytoczyć dwa następujące wyjątki godne średnio-wiecznych czasów:

»Benedykt XIV. Papież, bullą z dnia 16. Grudnia 1746 r., wychwaliwszy pożytki duchownego Rozmyślania, nadal Odpust zupełny tym wszystkim wiernym Chrystusowym, którzyby przez pół godziny, a przynajmniéj przez ćwierć godziny ciągle, czynili rozmyślanie duchowe codziennie, i to przez miesiąc czasu. Odpustu tego można dostępować co miesiąc: w tym celu, po dobrze odbytéj spowiedzi, a w dniu zostawionym do wyboru każdego, potrzeba godnie przystąpić do Stołu Pańskiego, i modlić się w myśl i za sprawę kościoła. (Dla spełnienia tego ostatniego warunku, dość jest odmówić pięć razy Ojcze nasz, i pięć razy Zdrowaś Marijo.) Nadto ci, którzy w kościele, lub gdziekolwiek bądź nauczać będą modlitwy ustnéj lub modlitwy dusznéj; i ci wszyscy, którzy nauki téj pilnie uczyć się będą; przez cały ciąg czasu, przez który to czynić będą, mogą dostępować odpustu zupełnego, co miesiąc, podług wyżéj oznaczonych warunków; a nadto siedm lat i siedm czterdziestek odpustu, ilekroć z sercem skruszonem przyjmą Kommunię Świętą.

Wszystkie te odpusty ofiarować można na korzyść duszy w czyscu zostającéj, a tym sposobem, z męki czyscowéj wyzwalać dusze drogie sercom naszym.

Odpust zupełny: Odpust ten można ofiarować za duszę osoby zmarłéj, o któréj może być rozumienie, iż jest w czyscu. Dobrze jest wymienić przy tém kilku innych zmarłych, w porządku jaki sobie zamierzamy, ażeby, jeżeli odpust nie jest potrzebny osobie pierwszéj, mógł się przydać dla drugiéj — tak następnie. (Pius VII. 10. Kwietnia 1801. Leon XII. 17. Września 1825.)«

Najnowsze dzieła.

Ostatnia z książąt Słuckich. 2 tomy in 8vo przez J. J. Kraszewskiego (jako powieść siodma szkiców Kraszewskiego). Wilno 1841. u Zawadzkiego.

Rusałka, część czwarta, przez A. Grozę.

Pan Kasztalan. Powieść historyczna wierszem z wieku 18. przez M. Jezierskiego. 1841. Wilno u Zawadzkiego.

Pamiętnik Sceny Warszawskiéj. Warszawa 1841. (Tom III. Cena Zł. 10).

Z takim smutkiem, z jakim przed kilkunastu dniami donieśliśmy w imieniu Polski o śmierci naszego Niemcewicza, z takim samym w imieniu ludzkości, donosimy dziś o śmierci jednego z najgodniejszych, najszlachetniejszych jéj obrońców — obrońców świętéj sprawy postępu.

Garnier-Pagés,

mąż równie wielki jako polityk literat — i jako obywatel, umarł dnia 23go Czerwca r. b. w Paryżu.

Oby zasługi i zasady jego, przejęły i serca naszéj młodzieży i roznieciały coraz bardziéj, święty ogień miłości ludu.

Cześć — cześć — pamięci Jego!

Sprostowanie.

*) W artykule »Ordery w Polsce« zaszły następne pomyłki drukarskie: str. 179. kolum. prawa, wiersz 7 od góry zam.: Germanów, czyt.: u Germanów. Tamże zam.: i nią, czyt.: i z nią. Str. 180. kolum. lewa, wiersz 23. od góry, zam.: paziów, czyt.: pasów. Tamże wiersz 25. zam.: nazywali, czyt.: nazywały. Str. 190. kolum. lewa, wierz 12. od dołu, zam.: i popuściła, czyt.: a nie popuściła. Str. 204. kolum. lewa, wiersz 11. od dołu, zam.: starszeństwa orderu, czyt.: starszeństwa otrzymanego orderu. Tamże kolum. prawa, wiersz 15. od dołu, zam.: zwiężujące się, czyt.: zwężające się. Str. 205. kolum. lewa, wiersz 4. od góry, zam.: 1794., czyt.: 1792.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*